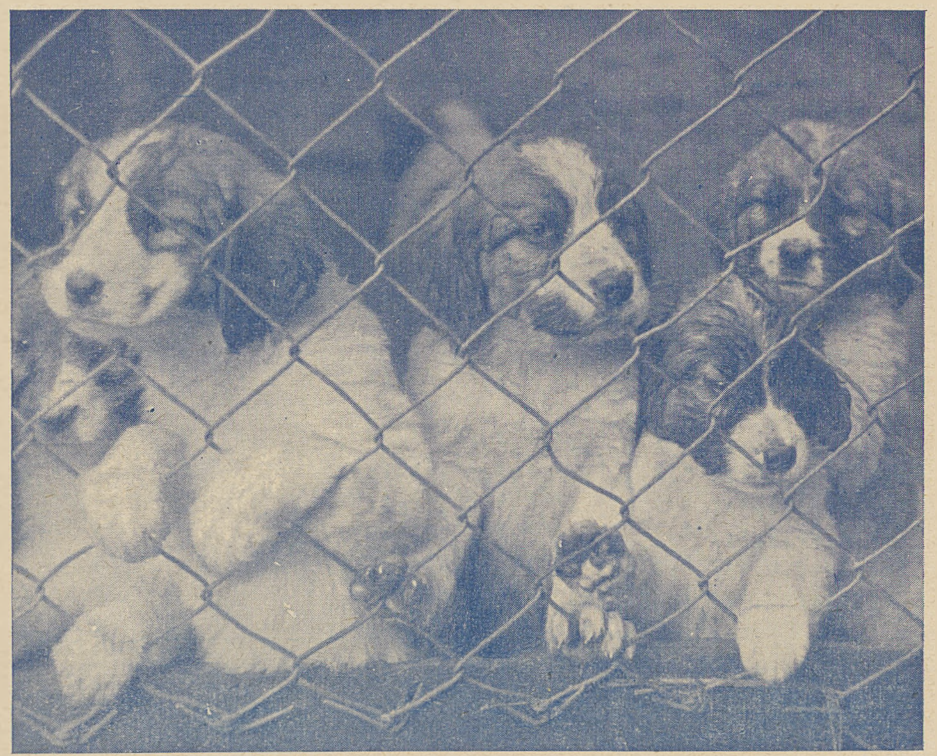
Cena 20 groszy

DZWONKI

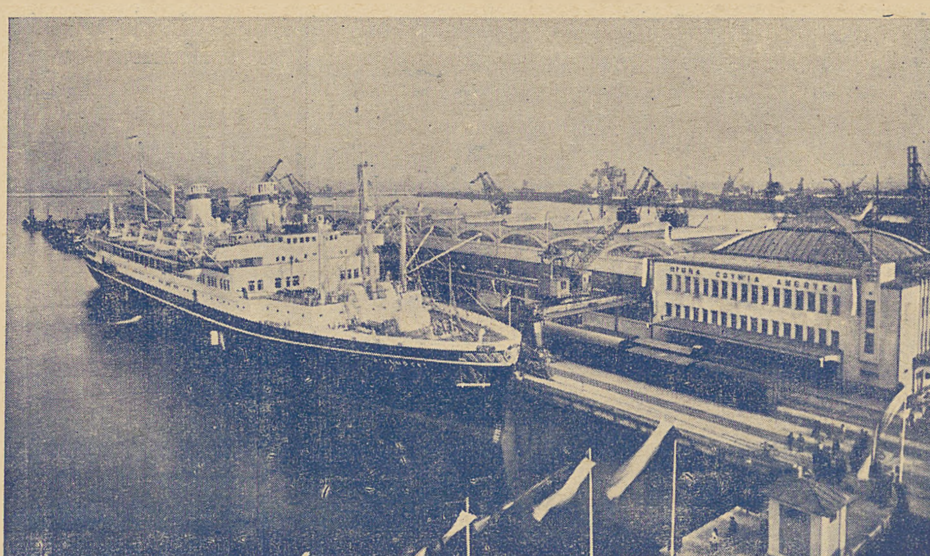
PISMO DLA DZIECI
NIŻSZYCH KLAS SZKÓŁ POWSZECHNYCH



WARSZAWA
ROK 2

3

1 PAŹDZIERNIKA
1938



Motorowiec „Piłsudski" w porcie.

KAŻDY POLAK BĘDZIE BRONIŁ MORZA

— Morze! Morze! Morze!

Bogdanek pędzi ile sił nad brzeg morza.

— Zaczekaj, bo wpadniesz do wody! — woła Marek.

Ale daremnie. Bogdanek nie słyszy. Sypki piasek wypryskuje spod jego stóp. Chłopak jest już nad samą wodą. Zatrzymuje się patrząc z zachwytem na morze.

Wtem fala, która przed chwilą odpłynęła odsłaniając wilgotny pas piasku, wraca niespodzianie i z impetem zalewa brzeg, obmywając nogi nieostrożnego chłopca.

— Aj, zimno! — woła wystraszony Bogdanek i ucieka na suchy piasek. Obuwie i skarpetki ma przemoczone.

Marek jest już przy nim. Siadają na starej, przewróconej do góry dnem łodzi leżącej na brzegu i Bogdanek zdejmuje obuwie.

— Nie martw się — mówi Marek — wszystko prędko wyschnie na wietrze. Tylko rozwieś skarpetki na łodzi! Nad brzegiem morza najwygodniej biegać boso.

Bogdanek ani myśli się martwić. Patrzy ciekawie na łodzie i statki zdążające do portu.

— Patrz — mówi Marek — płynie kuter rybacki! Widać na nim sieci. A tam dalej łódź. Widzisz, ile ma żagli?

To jacht. A teraz płynie statek motorowy, handlowy. Wiezie do portu ładunek.

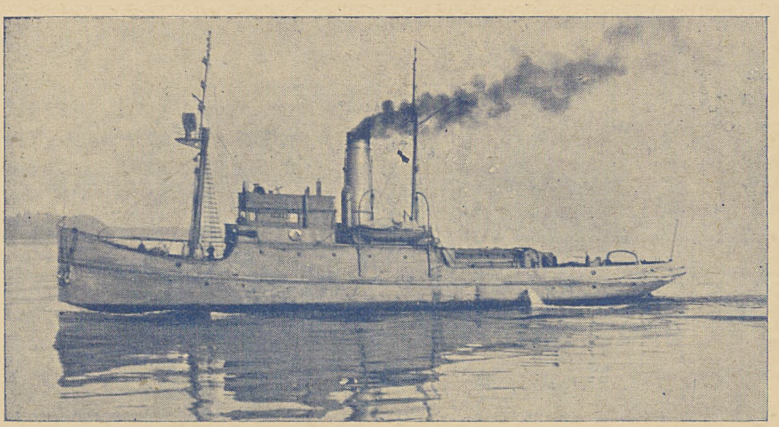
— Co to za murowane przegrody wystają z morza?

— To są falochrony — objaśnia Marek. — W porcie jest tak wszystko urządzone, żeby okręty mogły się w nim schronić. Nawet w czasie burzy jest w porcie spokojnie, bo falochrony bronią przed falami. Statki mogą się łatwo cumować.

— Cumować? Co to znaczy?

— To znaczy zarzucać ze statku na brzeg długie liny. Nazywają się cumy. Przywiązują je do pali, żeby przymocować statek albo łódź do brzegu. W porcie są wyznaczone miejsca dla dużych okrętów, a znów inne dla kutrów rybackich i jachtów.

Bogdanek patrzy na Marka z szacunkiem. On wszystko wie! Jak stary marynarz. Nic dziwnego, tak długo mieszka w Gdyni.



Holownik „Smok".

A Marek mówi dalej:

— Z Gdyni można płynąć do najdalszych krajów. Można wywozić różne rzeczy z Polski i tam sprzedawać, a kupować, czego nam potrzeba. W porcie są wielkie składy. Tam się przechowuje towary do wysyłki, i te, które przyjechały do Polski. Są też w porcie ogromne dźwigi. Wyładowują i załadowują towary na statki. Port gdyński jest jednym z najpiękniejszych i największych na Bałtyku!

Marek opowiada jeszcze Bogdanowi o latarniach morskich i o różnych znakach ostrzegawczych.

— Patrz, Marku — woła Bogdanek — jaki wspaniały okręt nadpływa!

— To jeden z okrętów polskiej marynarki wojennej — mówi Marek z dumą. — To kontrtorpedowiec „Wicher“! W razie potrzeby okręty wojenne obronią Gdynię przed wrogami. Zresztą każdy Polak będzie bronił morza. Ty i ja także!

Morze złociło się w ostatnich blaskach zachodzącego słońca. Posłyszało zapewne ostatnie słowa swych małych przyjaciół. Zaszumiawszy radośnie pochwyciło ich głosy i przerzucając je z fali na falę niosło daleko, daleko, aby dotarły do wszystkich polskich serc jak echo:

— Każdy Polak będzie bronił morza. Ty i ja także!

MARIA PROKOPOWICZOWA.

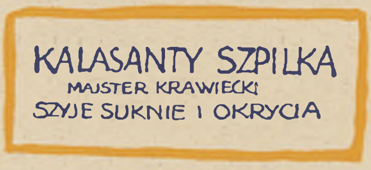


Tatuś z Basią i Kasią przyjechał do miasta. Patrzą: coraz to z boku wielki dom wyrasta! Aż nareszcie na głównej, ruchliwej ulicy weszli w bramę ogromnej, pięknej kamienicy. Przeszli przez sień, podwórze, wreszcie w oficynie ujrzeli poprzez okno krawca przy maszynie.



— To wasz wujek — powiedział tato do dziewczątek. — Bardzo dzielny to człowiek i zrobi majątek, gdy jeszcze popracuje tak przez latek kilka.

Na drzwiach wisi tabliczka:



Weszli. Zamilknął turkot maszyny do szycia, wstał od niej wujek i krzyknął radośnie:

— Witajcież, mili goście! Jak ta młodzież rośnie! Basia i Kasia to już panny duże! Siadajcież, proszę. Ja zaraz wam służę, tylko jeszcze przykroję te oto paltoty i czeladnikom dam je do roboty.

To rzekłszy chwycił swe wielkie nożyczki (tak dużych nożyc nie znały siostrzyczki) i jął krajać na stole gładko rozciągnione sukno, w przeróżne linie kredą pokreślone. Przy tym śmiał się, wesoło mówiąc do dziewczątek:

— Najważniejszy jest w naszej robocie początek. Krój, to rzecz główna i wielka to sztuka! To też lat kilka musi trwać nauka i niejedno się przedtem przykroi ubranie, zanim się majstrem krawieckim zostanie. Trzeba najpierw wziąć miarę ściśle i dokładnie, by odzienie szyk miało i leżało ładnie. Następnie zrobić formę podług wziętej miary. Trudna to sprawa, lecz nie żadne czary! Należy tylko wszystko dobrze obrachować i na papierze ołówkiem rysować. Potem już można ochoczo i skrzętnie brać się do pracy. Skroić umiejętnie, sfastrygować i gościa zaprosić do miary. Sprawdzić, czy zgrabnie leży, czy dobre wymiary, no i szyć na maszynie starannie, prościutko, drobnym ściegiem mocnymi nićmi i równiutko. Na

końcu wyprasować gorącym żelazem, to mocząc, to znowu susząc raz za razem. Teraz odesłać można robotę z rachunkiem, pod którym pięknie trzeba napisać: „z szacunkiem o wyrównanie proszę“. A może wy chcecie zobaczyć mą pracownię? Jeżeli pragniecie, to chętnie ją pokażę.

Skinął na dziewczątka. Poszły za nim. Korytarz, parę schodków, sionka, w niej drzwi jakieś. Otworzył.

Ileż tu łoskotu! Dogadać się nie można wśród maszyn turkotu. Dziesięciu czeladników szyje bez wytchnienia, bo pan majster nie ścierpiałby w warsztacie lenia. Dziurki dziergają, guziki przyszywają. I przy maszynach koła nogami poruszają. A znowu inni schyleni u stołu coś w rękach ściubią pilnie i prędziutko.

— Przy niedzieli z czeladzią tu nie pracujemy! Rano można się wyspać, a potem idziemy do kościoła na sumę. Wracamy do domu na obiad. Po obiedzie jak się żywnie komu podoba, tak się bawi. Miło wśród roboty rachować dni do soboty! Ale nie traćmy tutaj czasu nadaremno. Chcecie miasto zobaczyć? A więc chodźcie ze mną!

Uczepiła się wujka za prawicę Kasia, chwyciła go skwapliwie za lewicę Basia. I poszli wszyscy razem na rynek przestronny, kamiennymi brukami równo wyłożony. Tu pokazał im wujek sklepy, i kramiki, i wspaniałe kościoły, i piękne pomniki, śliczne parki rozległe, cieniste ogrody. A w końcu swoich gości zaprosił na lody.

ANNA WAJDOWA.

TO NIE ZABAWA

Józek już jest w trzeciej klasie. Ma teraz o wiele więcej roboty z lekcjami niż w zeszłym roku.

Co tam zresztą druga klasa! Malcy — wiadomo. A trzecia, ho ho! Wszyscy o tym wiedzą, najtrudniejsza z całej szkoły. Ot, choćby takie wypracowanie: „Moja ulica". Łatwo to powiedzieć, ale proszę spróbować napisać piękne zadanie o ulicy!

Józek ,wygląda przez okno. Namyśla się, jak to wszystko opisać. Środkiem pędzi tramwaj, bliżej chodników przejeżdżają samochody osobowe, ciężarowe, motocykle, rowery. A tuż przy chodnikach człapią konie dorożkarskie i jadą z wielkim dudnieniem wozy ciężarowe. Na chodnikach przechodnie idą, biegną, potrącają się, mijają. I tak od rana do późnego wieczora.

Wtem Józek słyszy znajomy głos. To Franek tak przeciągle nawołuje:

— Ku-u-urier Wieczooorny!

Józek widzi Franka. Franek stoi na narożniku, macha gazetami i raz po raz sprzedaje, wydaje resztę i znów woła:

— Ku-u-urier!

Co mi to za robota — myśli Józek — stać sobie na narożniku i tylko się zabawiać w sprzedaż gazet. Proszę siedzieć tu przy stoliku, myśleć, myśleć, a potem wymyślić piękne wypracowanie, ha, to dopiero praca!

Już ma odejść od okna, gdy spostrzega, że Franek kiwa ku niemu. A no, zobaczymy, czego chce.

Józek zbiega po schodach i woła:

— Serwus, Franek, co robisz?

— Jak widzisz, chmury popycham, żeby było ładnie. A pan Józek widzę ma zmartwienie, bo godzinami oknem wypatruje.

— E, ledwoś kiwnął, ja do ciebie przychodzę, a ty kpisz...



— Nie gniewaj się, kolego! Słuchaj, mam do ciebie interes. Józek, zastąp mnie, dobra?

— Zrobione!

— Masz tu gazety, a ja skoczę do redakcji, bo mi zaraz zbraknie numerów. Numer sprzedawaj po dwadzieścia groszy, ani grosza mniej! Krzycz, wołaj, nie przepuszczaj nikogo. Każdy musi kupić. Rozumiesz? Potrafisz?

— He, co nie miałbym sobie poradzić, przecież to nie żadna robota. To zabawa!

— No, zabaczymy!

I Franek znika w tłumie.

Józek nagle traci jakoś odwagę. Stoi wśród przechodniów i patrzy za biegnącym Frankiem. Ktoś go potrąca. Jakiś pan woła:

— Uważaj, bębnie! Nie zawadzaj!

Józek rzuciłby najchętniej gazety i uciekł do domu. Ale jak tu opuszczać stanowisko? Franek by go wyśmiał. Trzeba pozostać. Nabrał powietrza i woła, jak tylko może najgłośniej:

— Ku-u-u-urier Wie-czo-o-o-rny-y-y!

—A, byku zatracony—strofuje go jakiś staruszek — czego mi tu nad uchem wrzeszczysz?

Ale Józek dalej woła.

Jakiś pan podchodzi do niego, rzuca pięćdziesiąt groszy. Józek pyta grzecznie:

— O co panu chodzi?

— O litr maślanki! Czegoż mogę żądać, jak nie Kurierka? Dawaj, smyku, bo nie mam czasu.

— Zaraz, zaraz, niech no pan poczeka — prosi Józek.

— Co? na co? — irytuje się pan. — Dawaj prędzej gazetę i resztę.

— Zaraz, zaraz — Józek się rumieni. — Może pan będzie taki uprzejmy i zaczeka, pójdę zmienić pieniądze. Mieszkam niedaleko stąd. Za dziesięć minut wrócę.





— Zwariował brzdąc, czy co? Drobnych nie masz? To idź, panie, na emeryturę. Dawaj pieniądze i bądź zdrów.

Pan odchodzi. Józek patrzy za nim smutno.

Wtem zbliża się pani z pieskiem.

— Chłopiec! gazetę.

— Zaraz, proszę, proszę. A jaką pani sobie życzy? — pyta Józek.

— Czy masz więcej gazet?

— Nie, tylko Kurier Wieczorny.

— No to dawaj Kuriera i nie zawracaj głowy. Masz dwadzieścia groszy.

Józkowi pot wystąpił na czoło. To wcale nie zabawa! O, znów trzeba się usunąć, bo ktoś idzie wprost na niego.

— Ostrożnie, smyku, bo mi flaszki zbijesz!

— Ku - u - u - rier Wie - czo - o - o - o - rny - y - y...

— Prędzej, dawaj tu gazetę. Prędzej, prędzej, bo mi tramwaj ucieknie.

Józek daje gazetę, odbiera pieniądze, woła, usuwa się z drogi, uważa na przechodniów, trzyma mocno gazety. Jest coraz bardziej zmęczony. Wtem nadbiega zziajany Franek z paczką nowych gazet.

— I co, Józek, jak tam szedł interes? Cóż to, chory jesteś? Przecież jesteś cały spocony.

— E, nie, tylko... Tylko trochę się zmęczyłem.

— Oho, widzę, że trzy numery sprzedałeś. Brawo! A nie chciałbyś dłużej mi pomagać, co?

— E, nie — mówi Józek — wolę już iść. Bo muszę pisać zadanie.

— A widzisz, to nie taka łatwa zabawa, jak ci się zdawało. To ciężka praca!

Józek żegna Franka i idzie do domu. Siada przy stole i po namyśle zaczyna pisać wypracowanie. Raz po raz spogląda przez okno i uśmiecha się do Franka gazeciarza.

ST. STRUGAREK

Jak Balbinka mała promyka szukała

(Dokończenie).



Patrzy Balbiś za wrota:
stoi promień tam złoty,
przy nim tęcza, królewna,
z mgieł ma szatę powiewną
i gra ptaków kapela
na promyka weselu.



— Jak się zwie ta dziewczynka?
— To ja... ze wsi Balbinka...
— Wpuść ją, misiu, za wrota,
gdy ma tańczyć ochotę,
lecz z królestwa promieni
już nie wróci na ziemię!



Więc Balbinka się smuci:
— Ja do mamy chcę wrócić!
Mój promyku, mój złoty,
ja nie wejdę za wrota!
Tam mnie pewno wspomina
moja matuś jedyna...





I tak długo płakała,
Aż się chmura zebrała,
zahuczały pioruny,
z chmury wielki deszcz lunął
i z królestwa promieni
spadła Balbiś na ziemię.

Patrzy: chatka, i płotek,
i na ganku Niecnotek!
Kaczka brodzi w kałuży,
a na niebie po burzy
tęcza barwnie się mieni
i tańcują promienie...

J. W.





Figiel chochlika

Pan Walenty jest drukarzem. Cały dzień stoi przed dużym stołem i układa czcionki w wyrazy, wiersze, odstępy, rozdziały. Wyjmuje czcionki z różnych przegródek, bo każda literka ma swoje wyznaczone miejsce. Wszystkie **a** w jednej przegródce, **b** w innej, **c** w jeszcze innej i tak cały alfabet. Pan Walenty ma przed sobą napisane opowiadanie i literę po literze układa na specjalnej płycie, a potem wszystko się odbije na papier i będzie druk.

Nadeszła godzina piąta. Czas kończyć zajęcia. Pan Walenty zdejmuje okulary, wkłada niepotrzebne czcionki do przegródek, sprząta starannie swój stół i idzie do domu.

W drukarni zamiatają, wszystko układają na swoim miejscu. A potem zamykają drzwi i wychodzą. W drukarni nastaje cisza, jedynie z hali maszyn dolatuje stłumiony stuk.

Gdy zmierzcha, z kącika wychodzi cichutko władca czcionek: Chochlik drukarski. Wdrapuje się na wysoki stół, siada na najpierwszej przegródce z literkami **a** i zaczyna rozmowę z czcionkami.

— I cóż, kochanięta — pyta — dużo napracowałyście się dziś?

— Oj, dużo, dużo, — wołają czcionki.

— A ja pewno najwięcej — piszczy malutkie **i**. — Wciąż mnie wyjmują. Ledwo zmrużę zmęczone oko, już mnie Walenty ciągnie z przegródki.

— Ja mam nie lepiej — żali się kropka. — Pan zecer rzuca mną po całej szpalcie, ani chwilki spokoju nie mam.

— Oj Chochliku, Chochliku, ciężkie nasze życie — stęka basem pękate **B** — już dłużej chyba nie wytrzymamy!

Chochlik drukarski podparł obiema rękami brodę i zamyślił się głęboko. Czcionki cicho czekają, co też im powie, co poradzi mądry Chochlik. Ale on, zamiast zapłakać nad niedolą swoich czcionek, zrywa się nagle na równe nogi, wybucha śmiechem i zaczyna wesoło przeskakiwać z przegródki do przegródki i to na jednej nodze.

Małe, biedne, zmęczone czcionki patrzą na humor swego władcy.

On tymczasem śmieje się dalej, wreszcie woła:

— Moje kochanięta! Jutro będzie tutaj bal, jakiego jeszcze w drukarni nie widziano.

Zdziwione czcionki pytają:

— Cooooo?

— Będzie bal, powiadam. Tylko pozwólcie, kochanięta, że dziś zamienię wasze mieszkania.

To mówiąc Chochlik chwyta duże **H** i wrzuca je do przegródki, w której mieszkają duże **B**. Potem **J** wrzuca do **K**, **D** do **R**, **R** do **M** i tak dalej. Wszystkie prawie czcionki powędrowały do innych przegródek. Nie rozumieją, co to ma znaczyć. Chochlik uśmiecha się hultajsko.

Nadeszła noc, czcionki zasypiają i znów jest cicho w zecerni.

* * *



Na drugi dzień od samego rana pan Walenty jest zły. Co złoży wiersz, źle! Wciąż błędy i błędy. Czyści po raz trzeci okulary, ale nic nie pomaga. Niemal w każdym wyrazie błąd. Na dodatek Julek, chłopak do posyłek, przyniósł kartkę od kierownika.

— Panie Walenty — mówi — pan kierownik pyta, co to znaczy?

— Dawaj no, zobaczę. A ty uciekaj!

Pan Walenty przeciera znów okulary i czyta:

Bania poszła do kadzi. Po nodze spotkała ramę. Rama pyta banię:

— Czemu tak tama łatasz?

— Bo jeszcze kpią mieci.

Bania śmieszy się. Nie da lasu ani chwili!

Co to jest? Walenty zdziwiony bierze rękopis i porównuje. Zupełnie co innego napisano, niż wydrukowano. Co to może być?

Aha, już mam — myśli pan Walenty. To napewno sprawka Chochlika drukarskiego. Oczywiście znów ktoś grzebał mi w przegródkach.

— Julek! — woła. — Zaraz mi się przyznaj. Grzebałeś tu w przegródkach?

— Panie Walenty, mnie tu wczoraj wcale nie było!

— Więc kto to zrobił?

— Nie wiem...

— Słuchaj — rzecze Walenty — stań przy stole i poukładaj porządnie wszystkie czcionki. A uważaj!

I pan Walenty idzie do innego stołu. Tam czcionki są na swoich miejscach. Znów składa to samo opowiadanie i wychodzi tak, jak napisano w rękopisie:

Hania poszła do Jadzi. Po drodze spotkała mamę.
Mama pyta Hanię:
— Czemu tak sama latasz?
— Bo jeszcze śpią dzieci.
Hania śpieszy się. Nie ma czasu ani chwili!

* * *

Julek układając czcionki uśmiecha się i mruczy pod nosem:

— Wiem, wiem, co było! To w nocy Chochlik spłatał znów figla. Chciałbym go raz ujrzeć...

A czcionki przez cały dzień odpoczywają sobie w przegródkach, bo pan Walenty składa przy innym stole.

S. S.

W SADZIE

Co uciechy w sadzie!
Co jabłek i gruszek!
Jaś je skrzętnie zbiera w czapkę,
a Basia w fartuszek.

Gruszki są wyborne,
jabłka doskonałe.
O, przybiegły jeszcze z domu
dwie siostrzyczki małe!

Śliwa hojnie sypie
swymi węgierkami.
I jakżeż tu się nie cieszyć?
No, powiedzcie sami!

M. CHEŁMOŃSKA



Kto pozna zwierzęta na obrazku i najlepiej opisze ich wygląd i obyczaje, ten otrzyma ładną książkę. Odpowiedź trzeba napisać samodzielnie, bez niczyjej pomocy, i nadesłać ją do dn. 15 października.

DRODZY PRZYJACIELE!

Dziękuję za list *Bronce Majewskiej ze Lwowa* i pozdrawiam jej psa Rogusia! Narysuj mi go, żebym wiedział, jak wygląda.

Staszek Gronkowski z Majdanu pisze, że bardzo go interesują moje przygody i zawsze najpierw czyta ostatnią stronę Dzwonków. Bardzo się z tego ucieszyłem! Pozdrawiam się serdecznie i proszę o dalsze listy.

Magdzia Szczurkówna z Poznania przysłała mi śliczną fotografię Puńki ze szczeniętami. Czy wychowasz wszystkie, czy też je podarujesz? Napisz mi, jak rosną i co się z nimi dzieje.

Stefek Granny z Krakowa prosi, żebym do niego przyjechał. Chętnie wyruszyłbym w podróż, ale psów samych do wagonu nie wpuszczają. I kto by za mnie odpowiadał na listy? Pytasz, co się dzieje z Cyganem. Po zeszłorocznej podróży nie ma wcale ochoty na dalsze wycieczki, więc do krainy czarów musiałem wyruszyć sam!

Ściskam serdecznie Wasze łapki

FIGIELEK.

WARUNKI PRENUMERATY „DZWONKÓW"

	poj. egzemplarze	półrocznie	rocznie
w Polsce	20 gr	2.00 zł	3.60 zł
za granicą	30 gr	3.00 zł	5.40 zł
w St. Zj. Ameryki Pn. .	—	—	1,5 dol.

Na tych samych warunkach można zaprenumerować dwutygodnik dla dzieci **wyższych** klas szkół powszechnych p. t. „Młody Polak". Konto P.K.O. dla „Młodego Polaka" jest inne, a mianowicie: 11.044.

Prenumeratorom, zamawiającym naraz 10 lub więcej egzemplarzy jednego numeru, dodajemy 1 egz. bezpłatnie przy każdych opłaconych 10 egz.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Chmielna 58, Nr. telefonu redakcji i administracji: 6-93-65. Redaktorka przyjmuje w środy od godz. 17 do 19 i w soboty od godz 12 do 14. Rękopisów się nie zwraca. Administracja czynna codziennie od 12 do 13. Konto P. K. O. 13066.

Redaktorka: Maria Niklewiczowa. Wydawca: za Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — Antonina Tyszkowska.

FIGIEL W KRAINIE CZARÓW



Idzie Figiel, rad z zaprosin,
aż tu biegną Jaś z Małgosią.



— Piesku, zmykaj stąd coprędzej!
Chcę cię upiec Baba Jędza!



My kraj czarów dobrze znamy;
mapkę ci na drogę damy.



Skoro ujrzysz znak czerwony,
niebezpieczne to są strony.



Figiel pięknie im dziękuje
i znów dalej maszeruje.



Lecz nim setny uszedł krok,
patrzy: stoi groźny smok...

(D.c.n.)